Francis Stevens (Gertrude Bennett)

Dziwne doświadczenie Thomasa Dunbara

(The Curious Experience of Thomas Dunbar)

The Argosy, March 1904
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Wróciłem do stanu świadomości, z wypełniającym uszy westchnieniem, brzmiącym jak głęboki oddech ogromnego potwora; dochodziło ono zewsząd, przenikając przestrzeń, przepełniając mój umysł z siłą tłamszącą myśli.

To był tylko dźwięk – regularny, nawet kojący w swej naturze – zdawał się jednak nieść memu zamglonemu umysłowi jakieś niesamowite znaczenie. Była to myśl, próbująca przebić się do środka.

Potem kolejne fale szeptów, które zmyły resztki myśli – do czasu kiedy znowu pochwyciłem jakąś zmieszaną i ulotną ideę.

Było to wyraźne wrażenie zimnej, pewnej dłoni leżącej na mym czole, która uniosła mnie w końcu przez zalewający wszystko ocean westchnień. Jak wynurzający się z głębin nurek, płynąłem w górę – i w górę – aż wyłoniłem się nagle, jak mi się zdawało, na świat.

Otworzyłem oczy i patrzyłem prosto w twarz jakiegoś człowieka. Człowieka – lecz wszystko przed oczyma mi pływało i w pierwszej chwili jego twarz zdawała się być nie więcej niż resztką snu.

I fantastycznych wizji Orientu! Co za twarz! Poznaczona była zmarszczkami równie obficie jak kiść kobiecej dłoni, i to we wszystkie strony.

Miała żółty odcień i była okrągła jak u dziecka. Oczy zaś były wąskie i czarne, lekko skośne, lśniące jak u wiewiórki.

Tak o nich pomyślałem w pierwszej chwili; jednak czasami, kiedy przytrafiło się na nie spojrzeć, zdawały się poszerzać i nabierać dziwnych głębi oraz barw.

Nie miał on więcej niż cztery, pięć stóp wzrostu i, dla większego kontrastu, to niewielkie zasuszone dziwadło z obliczem chińskiego boga, odziane było w zadbany i bardzo odpowiedni popołudniowy strój zadbanego i bardzo odpowiedniego amerykańskiego dżentelmena!

Długie westchnienie ciągle wypełniało moje uszy, ale nie toczyło już wojny z myślami. Leżałem na schludnym białym łóżku w prosto umeblowanym pokoju. Uniosłem dłoń (czynność ta wymagała zdumiewającego wysiłku), przetarłem oczy i zacząłem wpatrywać się w siedzącego koło mnie człowieka.

Wyraz twarzy miał uprzejmy i pomimo brzydoty w jego obliczu było coś dziwnego, co zachęcało mnie ku przyjaźni.

— Co… co się ze mną dzieje? — spytałem i z zaskoczeniem zauważyłem, że pytanie to zadane zostało cichym szeptem.

— Teraz już nic, poza tym, że jest pan bardzo słaby.

Miał pełny, mocny głos, cechujący się osobliwą siłą brzemienia. Powiedział to w doskonałym angielskim, z pewnym słyszalnym ostrym kończeniem poszczególnych wyrazów.

— Miał pan wypadek – przejechał pana samochód – ale teraz już wszystko jest z panem w porządku i nie musi pan zajmować sobie tym głowy.

— Co to jest – ten szumiący hałas? Jesteśmy gdzieś blisko morza?

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Jego uśmiech jeszcze podkreślił zmarszczki – nie był w stanie już powiększyć ich liczby.

— Jest pan blisko mojego laboratorium – to wszystko. Proszę to wypić, a potem musi pan odpocząć.

Posłuchałem go potulnie, jak dziecko, słabe na ciele i umyśle.

Dziwiłem się trochę, dlaczego byłem u niego a nie w szpitalu lub u przyjaciół, ale wkrótce zacząłem odpływać w sen. Wtedy naprawdę byłem bardzo słaby.

Jednak zanim zasnąłem, zadałem jeszcze jedno pytanie.

— Powie mi pan – jeśli oczywiście ma pan ochotę – jak pan się nazywa?

— Lawrence.

— Lawrence, jak? — wyszeptałem. — Tak po prostu…?

— Tak — uśmiechnął się (a jego twarz zmieniła się w istną burzę zmarszczek). — Po prostu Lawrence. To wszystko.

Potem zasnąłem.

Przez jakieś pięć dni robiłem niewiele, poza spaniem, budzeniem się, jedzeniem i znowu spaniem. W trakcie tego okresu, dowiedziałem się niesamowicie mało o moim gospodarzu i jego sposobie życia.

Większości pytań sprytnie unikał, ale powiedział mi, że to jego auto niemalże zniszczyło moją ziemską egzystencję; Lawrence zabrał mnie z miejsca wypadku, nie czekając na ambulans, mówiąc policji i gapiom, że jestem jego znajomym. Wziął mnie do swego domu, ponieważ, jak twierdził, czuł się trochę odpowiedzialny za moje obrażenia i chciał mi dać większą szansę na przeżycie, niż gdybym znalazł się w rękach doktorów.

Wydawało się, że miał wszystkich lekarzy w głębokiej pogardzie. Dowiedziałem się, dużo później, że studiował ten zawód bardzo dogłębnie, w wielu krajach, i naprawdę miał prawo do tego tytułu, którego sam sobie tak pogardliwie odmawiał.

Na razie wiedziałem tylko, że postawił mnie na nogi w cudownie krótkim czasie, biorąc pod uwagę rozmiar obrażeń jakie odniosłem, oraz że w ogóle przy tym nie cierpiałem. Dlatego, byłem mu bardzo wdzięczny.

Powiedział mi także, nie pamiętam już przy jakiej okazji, że jego matka była Japonką o bardzo starożytnym pochodzeniu, jego ojciec był wykształconym i dosyć bogatym Amerykaninem. A z jakichś ekscentrycznych, tylko dla niego wiadomych powodów, jego karłowaty syn zdecydował się porzucić nazwisko rodowe i używać wyłącznie otrzymanego na chrzcie imienia.

Przez cały ten czas, kiedy leżałem w łóżku, nie widziałem żadnych służących; Lawrence sam robił wszystkie niezbędne rzeczy. I nigdy, przez całe dnie i noce, nie cichły pomruk i westchnienia maszyn.

Lawrence wspominał coś niejasno o ogromnych prądnicach, ale w tym temacie, podobnie jak w większości innych, pozostawał bardzo skryty. Często widziałem go w kombinezonie mechanika, ponieważ przychodził

mnie odwiedzić o wszystkich godzinach dnia i, jak sobie wyobrażam, opieka nade mną musiała pociągać dla niego znaczne niewygody.

Nie miałem żadnych szczególnych przyjaciół, którzy mogliby martwić się o moje sprawy, tak więc leżałam sobie w spokoju, podczas gdy przez te pięć dni świat toczył się dalej, siłą bezwładności.

Wtedy nadeszła chwila – było to rano, i Lawrence zostawił mnie aby udać się do laboratorium – kiedy nagle poczułem szalone zniecierpliwienie nudnym otoczeniem. Pomimo, że byłem słaby, postanowiłem ubrać się i wyjść na dwór – z powrotem na świat.

Wyobraźcie sobie, że podczas tych pięciu dni nie widziałem żadnej ludzkiej twarzy poza obliczem mego karłowatego gospodarza i nie słyszałem niczyjego innego głosu. W ten sposób moja niecierpliwość pokonała zarówno mój zdrowy rozsądek jak i jego dobre rady, i oświadczyłem sobie w myślach, że czuję się już wystarczająco dobrze, żeby włączyć się z powrotem w strumień życia.

Powoli, na drżących nogach, co w widoczny sposób przeczyło temu twierdzeniu, dotarłem do moich ubrań. Bardzo wolno – chociaż w idiotycznym przestrachu, aby Lawrence nie złapał mnie na obchodzeniu jego zaleceń – wykonałem pośpieszną toaletę, najlepiej jak tylko mogłem.

I w końcu stałem, ubrany i rozsądnie myślący, jak sobie wmawiałem, chociaż już zaczynałem żałować mego nagłego postanowienia.

Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na pusty, wąski korytarz. Nikogo nie było widać, ani z jednej ani z drugiej strony.

Ruszyłem w drogę, prawdę mówiąc opierając się przez cały czas o ścianę, w stronę drzwi na dalszym końcu korytarza, które były lekko uchylone.

Niemal już do nich dotarłem kiedy usłyszałem straszliwy krzyk. Był ostry, ochrypły, przepełniony jakąś okropną męką i dla mych zaskoczonych zmysłów, brzmiał ewidentnie po ludzku.

Stanąłem jak wryty w szoku, rozdygotany od stóp do głów. Potem rzuciłem się do drzwi, spoza których ten dźwięk wydawał się dochodzić. Nie były zamknięte i wpadłem, lecąc niemalże głową naprzód, do wielkiego pomieszczenia, przyciemnionego, wypełnionego wirującymi maszynami, połyskującymi w potężnych łukach światła.

Przed długim stołem, pełnym retort i przyborów laboratoryjnych, stał Lawrence. Zwrócony był do mnie tyłem, ale odwrócił gniewnie głowę na moje nagłe wtargnięcie, a jego osobliwe, wąskie oczy płonęły irytacją.

W pomieszczeniu było jeszcze dwu czy trzech innych ludzi, ewidentnie zwykłych mechaników, i nikt poza Lawrencem nie zrobił niczego, z wyjątkiem uniesienia głowy. Krzyk ucichł.

— Tak? — jego głos niewiele tylko różnił się od warknięcia.

— Ten… hałas! — sapnąłem, zastanawiając się przy tym, czy nie zrobiłem z siebie głupca. — Co to było?

— Hę? Och, to nie było nic… maszyna… dlaczego pan…

Przerwał mu trzask i plaśnięcie, z dalszego krańca pomieszczenia, któremu towarzyszył okrzyk strachu i grozy, a następnie piękna kolekcja angielskich i francuskich przekleństw ze strony znajdujących się w laboratorium ludzi.

Lawrence, mówiąc do mnie, trzymał w ręce coś wyglądającego na osobliwy kawałek metalu. Miał on cylindryczny kształt, a po jego powierzchni przebiegały przez cały czas lekkie, kolorowe cienie. Teraz wcisnął mi go w dłonie, czemu towarzyszyło pośpiesznie wymamrotane napomnienie abym obchodził się z nim ostrożnie, i ruszył na miejsce katastrofy. Podążyłem za nim, najśpieszniej jak tylko byłem w stanie, z trzymanym w ręku przedmiotem. W dalszej części pomieszczenia znajdowały się dwa ogromne zbiorniki z emaliowanego żelaza, z brzegami kończącymi się równo z podłogą, wypełnione do połowy jakąś siwą, kipiącą mieszaniną kwasów, nad którą unosiły się i skręcały lekkie opary.

Przeciwległa strona większego zbiornika wznosiła się stopniowo pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni, tworząc gładką, śliską, ocynkowaną skośną platformę, o długości od góry do dołu około dziesięciu stóp, i szeroką na całą szerokość zbiornika.

Powierzchnia tej platformy, pokryta była warstwą jakiejś żółtawej pasty mniej więcej półcalowej grubości, której ostatecznym miejscem przeznaczenia była mieszanina w zbiorniku.

Ponad zbiornikiem wznosiła się maszyna złożona z wielu kół zębatych i tłoków, napędzająca dwa wielkie mieszadła czy też tłuczki, zamocowane skośnie tak, aby pasowały do nachylenia platformy. Przebiegały one od jednego boku ocynkowanej platformy do drugiego, uderzając w pastę aby ją rozcierać i rozdrabniać, tak jak artysta miesza farby na palecie, metalowym nożem.

Rozcierające ruchy mieszadeł były dosyć szybkie ale tempo ich przesuwu w bok, pozostawało stosunkowo powolne. Powiedziałbym, że przejście od jednego do drugiego boku piętnastostopowego zbiornika, musiało zabierać obu tłuczkom około czterech minut.

W zbiorniku pływała deska. Na powierzchni cynkowej rampy, niemalże pośrodku niej, leżał człowiek, z szeroko rozłożonymi na obie strony rękoma, nie śmiejąc nawet drgnąć na śliskiej paście, ponieważ najlżejszy jego ruch mógł oznaczać ześlizgnięcie się do zbiornika, prosto w syczący kwas.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że wydawało się iż nie ma możliwości przedostania się przez zbiornik, do niego. Wielka maszyna zajmowała całkowicie miejsce po jednej stronie, od ściany – z drugiej zaś, przejście zamykał drugi zbiornik.

Za zbiornikami pomieszczenie ciągnęło się nieco dalej i znajdowały się tam drugie drzwi, teraz otwarte, przez które można było dostrzec ogrodzone podwórze, wypełnione wysokimi stosami popiołu i żużla.

Zaś wielkie mieszadła, każde z nich to dwadzieścia stóp sześciennych solidnego metalu, nieubłaganie zmierzały ku leżącemu mężczyźnie. Kiedy do niego dotrą – no cóż, nawet jeśli ich szybkie ruchy pozwolą mu je chwycić, gładka powierzchnia mieszadeł nie zapewni mu odpowiednio pewnego chwytu palców. Muszą zepchnąć go na dół – może najpierw go ogłuszą, ale z całą pewnością zepchną go na dół.

Nie muszę chyba mówić, że wtedy nie ogarniałem w pełni znaczenia tego co się dzieje – dopiero później zrozumiałem wszystkie związane z tym szczegóły.

Już w trakcie biegu, Lawrence krzyczał:

— Zatrzymać tę maszynę! Pośpieszcie się, ludzie!

Zobaczyłem jak dwu posłusznych mu mężczyzn, skoczyło do dźwigni maszyny z mieszadłami – zobaczyłem jak kręcą kołem sterującym – i usłyszałem kolejny trzask, oraz głośny jęk wydobywający się ze wszystkich piersi! W mechanizmie sterującym spadło koło zębate lub złamał się pręt, czy coś innego.

W ogarniającym mnie podnieceniu, trzęsąc się z osłabienia tak że ledwie mogłem stać, na wpół upadłem na jakąś maszynę która wydawała się być wyłączona. Nieświadomie moje palce zacisnęły się na czymś w rodzaju dźwigni.

Usłyszałem szum wirowania, poczułem jakiś potężny wstrząs i piekący ból. Szybko puściłem uchwyt, akurat w chwili gdy Lawrence zatoczył się na mnie z krzykiem:

— Na miłość Boską, ty głupcze…!

Ja jednak zupełnie nie zwracałem uwagi na to co zrobiłem, ani na niego. Mój wzrok był nieustannie utkwiony w nieszczęsnego człowieka leżącego na platformie.

Mieszadła były już nie dalej niż pięć stóp od niego i ich niski grzechot i świst brzmiały w mych uszach tak mocno jak odgłos maszerującej armii.

— Lina! — zawołał Lawrence w desperacji.

I wtedy, ogarnięty zgrozą i będąc absolutnie niezdolny do stania na boku i przyglądania się jak ktoś ginie na moich oczach w taki sposób, zrobiłem szaloną rzecz.

Oszalały z oburzenia, tak jakby maszyna była jakimś żywym stworzeniem, z którym mógłbym walczyć, rzuciłem się do wielkiego, szybko obracającego się jej koła napędowego, złapałem dłońmi za jego obręcz, zaparłem się nogami i zahamowałem je ze wszystkich sił w ramionach.

Wedle wszelkich doświadczeń i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, moje dłonie powinny zostać zmiażdżone na galaretę w labiryncie trzewi maszyny, ale ku memu ogromnemu zdumieniu koło zatrzymało się w mym uchwycie, bez jakiegoś ogromnego wysiłku z mojej strony.

Przez chwilę tak je trzymałem (wydawało mi się, że ciągnie mnie z siłą nie większą niż ręce dziecka), a potem rozległ się głośny trzask gdzieś we wnętrznościach potwora. Zobaczyłem jak pręt sterujący, o grubości mojego nadgarstka, wygina się do góry i skręca jak giętki przewód, a różne inne elementy generalnie zaczynają rozbijać wnętrze maszyny. Mieszadła zatrzymały się – niecałe trzy cale od głowy leżącego człowieka!

I jeszcze zanim przestały one do końca uderzać, przez znajdujące się po drugiej stronie zbiorników drzwi wpadli ludzie – musieli obiec warsztat dokoła, żeby się do nich dostać – i dobiegli do górnej krawędzi platformy, z liną którą spuścili na dół.

W jednej chwili mężczyzna został wyciągnięty w bezpieczne miejsce, wyrwany z ramion najstraszniejszej śmierci jaka może spotkać człowieka – śmierci w płynie składającym się w większości z kwasu siarkowego!

Stałem jak słup soli, ciągle trzymając koło napędowe, oszołomiony przez nagłość wszystkich tych wydarzeń – ledwie zdolny uwierzyć, że niebezpieczeństwo już minęło.

Obudził mnie dotyk na ramieniu, i odwróciłem się aby spojrzeć prosto w wąskie oczy Lawrence'a. Patrzył na mnie z czymś w rodzaju przestrachu na twarzy.

— No, cóż — powiedziałem, uśmiechając się drżąco. — Obawiam się, że zniszczyłem pańską maszynę.

— Zniszczył pan maszynę! — powiedział powoli, lecz z naciskiem. — Co z pana za człowiek, panie Dunbar? Wie pan, że to jest trzystukonna kruszarka Danburry'ego? Że moc niezbędna do zatrzymania tego koła w sposób w jaki pan to zrobił, wystarczyłaby do napędu lokomotywy – do podniesienia samej masy tej maszyny równie łatwo jak ja podnoszę funtowy ciężarek?

— Zatrzymała się bez najmniejszego trudu — wymamrotałem.

Z jakiegoś śmiesznego powodu, poczułem lekki wstyd – tak jakby ten pokaz siły był rzeczywiście czymś nieprzyzwoitym. I nie mogłem tego zrozumieć.

Oczywiście, pomyślałem, Lawrence przesadza co do użytej mocy, ale chociaż jestem z natury dosyć silny, to jednak przed moim wypadkiem, nie mogłem pochwalić się niczym nienormalnym – i czyż nie wstałem dopiero co z łóżka, parę chwil wcześniej niezdolny nawet do tego by stać czy chodzić nie podpierając się?

Stwierdziłem, że stoję, nerwowo zaciskając i rozprostowując dłonie, oraz że nagle uświadomiłem sobie iż bolą mnie one, jakby całe uległy poparzeniu – w minutę potem jak zacząłem o tym myśleć, ból stał się rzeczywiście nie do zniesienia.

Popatrzyłem na ręce. Były w okropnym stanie – szczególnie prawa. Wyglądały jakbym zacisnął je na kawałku rozpalonego do czerwoności żelaza.

— Co się stało? — szybko spytałem Lawrence'a. Pochylił się nad moimi dłońmi, patrząc na nie swymi małymi czarnymi oczkami.

Potem uniósł szybko wzrok i zobaczyłem pojawiający się na jego pomarszczonej twarzy, ciekawy wyraz – dziwne podniecenie, mógłbym przysiąc, blady rozbłysk tryumfu.

Potem:

— Gdzie on jest? — zawołał rozkazująco, ostrym i pełnym napięcia głosem. — Co pan z nim zrobił?

Puścił moje ręce i opadł szybko na kolana, klękając na podłodze z pochyloną głową, i zaczynając czegoś szukać – macając dookoła siebie w cieniach rzucanych przez maszyny.

— Hej – ty, tam! — zawołał na jednego ze swoich ludzi. — Przynieś tu światło! Boże! Jeśli on teraz zginie – po tych wszystkich latach – tych wszystkich latach!

— Co? — powiedziałem, głupawo.

— Nowy pierwiastek — krzyknął z niecierpliwością. — Stelaryt, jak go nazwałem. Och — szybko popatrzył na mnie do góry — oczywiście, pan o

tym nie wie. Ten mały kawałek metalu, który panu dałem do potrzymania – mieniący się cylinder – pamięta pan?

Mówił z irytacją, tak jakby niemalże niemożliwe było dla niego powstrzymanie się przed użyciem mało cywilizowanego języka.

— Ach, tak – to. — Rozejrzałem się dokoła, z grubsza. — No tak, przecież trzymałem go w dłoni – oczywiście. Musiałem go upuścić, kiedy złapałem za koło napędowe. Prawdopodobnie leży gdzieś na podłodze; ale, jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, czy mógłby pan coś zrobić z moimi dłońmi? Bolą mnie dosyć mocno.

Rzeczywiście, powietrze przed oczyma wypełniło mi się czarnymi, przepływającymi kropkami, i akurat w tej chwili mieniące się cylindry budziły we mnie bardzo niewielkie zainteresowanie.

Niemal na mnie warknął.

— Proszę czekać! Jeśli on zginął – ale to nie może być! Ach, w końcu światło! Teraz może uda się coś zobaczyć.

Nadal szukał wszędzie, a jego ludzie zaczęli mu pomagać. Patrzyłem na to co się dzieje otępiałym wzrokiem.

Wtedy pochwycił mnie nierozsądny gniew na ich lekceważenie – ich obojętność na moją bardzo rzeczywistą męczarnię. Nachyliłem się do przodu i nie patrząc na dodatkowy ból jaki sprawiały mi poranione dłonie, złapałem Lawrence'a za kołnierz i zacząłem nim potrząsać.

Wydawał się być niesamowicie lekki – niemalże jak kawał korka, prawdę mówiąc. Podniosłem go z ziemi jak kociaka i przytrzymałem przed sobą w odległości wyciągniętej ręki.

Potem nagle uświadomiłem sobie, że to co robię, było czymś dosyć niezwykłym, i puściłem jego kołnierz. Wylądował na stopach, lekko jak kot.

Oczekiwałem wybuchu gniewu, ale tylko stwierdził z niecierpliwością.

— Proszę tego nie robić – niech pan mi pomoże szukać, dobrze? — zupełnie tak, jakby było to jakieś zupełnie zwyczajne zdarzenie.

Dziwny charakter tego co się stało, dotarł do mnie z pełną siłą; poczułem się jak we śnie.

Pochyliłem się i pomogłem mu szukać. Ale to nie miało sensu. Mały cylinder stelarytu, zdawał się zniknąć bez śladu.

Nagle Lawrence zerwał się na nogi; z jego twarzy, której rozliczne zmarszczki chwilę wcześniej skręcone były w mieszaninie tryumfu i rozpaczy, teraz zniknęły wszelkie emocje. Była jak pusta tablica z której starte zostały wszelkie znaczące treści.

— Proszę ze mną, panie Dunbar — powiedział spokojnie. — Już najwyższy czas, żeby obejrzeć te pańskie dłonie. Johnson, Duquirke, wy dalej szukajcie. Obawiam się jednak chłopcy, że to nic nie da. Ten zbiornik z kwasem jest za blisko.

— Myśli pan…

— Obawiam się, że stoczył się do niego — stwierdził.

Nie odezwałem się, czując ponurą świadomość, że stałem tam, na arenie jakiejś ogromnej katastrofy której skutki ledwie mnie dotyczyły, ale która dosięgła tego niewielkiego pomarszczonego człowieka w samym szczycie sukcesu.

Poszedłem za nim do małego biura, znajdującego się przy laboratorium; wyposażonego w większość sprzętów jakie można znaleźć w gabinecie lekarskim, razem z przeszkloną szafą pełną błyszczących instrumentów. Wyjaśnił jego przydatność, bandażując mi ręce z wprawną delikatnością doświadczonego chirurga.

— W takim miejscu jak tam — stwierdził kiwając głową w stronę laboratorium — zawsze trzeba mieć na względzie możliwość wypadków.

— Chciałbym, żeby mi pan wyjaśnił, co zrobiłem — powiedziałem kiedy już wreszcie skończył.

Nie czułem słabości ani żadnej potrzeby odpoczynku, co było dziwne, biorąc pod uwagę emocje jakie przeszedłem i moją niedawną chorobę.

— Dwie rzeczy, tak żeby się specjalnie nie rozwodzić — odparł, uśmiechając się dosyć smutno, jak mi się wydawało. — Przypadkowo natknął się pan na coś wspaniałego i jednocześnie zniszczył pan, jak się obawiam, wszelkie następstwa, jakie mogły wypływać z tego faktu.

Patrzyłem na niego, zaintrygowany.

— Podniósł mnie pan jak piórko — powiedział gwałtownie. — Może pan myśli, że ja zbyt wiele nie ważę – w końcu nie jestem gigantem. Duquirke! — zawołał. — Mógłbyś tu na chwilę wejść, jeśli byłbyś tak uprzejmy?

Duquirke pojawił się w biurze, prawdziwy człowiek góra, w dodatku same muskuły. Ja sam dochodzę do sześciu stóp i jestem dosyć szeroki w ramionach, ale ten facet przerastał mnie o dobre trzy cale i to we wszystkich wymiarach.

— Nie może pan używać dłoni, oczywiście — powiedział do mnie Lawrence, — ale proszę po prostu przykucnąć i wyciągnąć rękę, dobrze? A teraz, Duquirke, usiądź panu na ramieniu. Właśnie tak. Och, nie obawiaj się – z pewnością cię utrzyma. Ach, dokładnie tak, jak myślałem!

Obaj wykonaliśmy jego polecenia, ja z pewnym powątpiewaniem, Kanadyjczyk ze spokojną obojętnością. Ale ku mojemu zdumieniu stwierdziłem, że wielki mężczyzna ważył naprawdę stosunkowo niewiele.

Wstałem, ciągle z wyciągniętą ręką, z absolutną łatwością, podczas gdy Duquirke siedział na niej, ostrożnie trzymając się, z otwartymi ustami i oczyma utkwionymi w swego pana z niemalże psim oddaniem.

— Z czego ty jesteś zrobiony? — sapnąłem. — Z korka?

Opuściłem rękę, naprawdę spodziewając się że zobaczę jak ten człowiek opada lekko niby piórko – on jednak poleciał z hukiem który wstrząsnął domem i leżał przecz chwilę na podłodze, gwałtownie przeklinając.

Potem pozbierał się w pośpiechu i zaczął się wycofywać rakiem do drzwi z oczyma utkwionymi we mnie aż do ostatniej chwili, podczas gdy jego język, naprawdę nieświadomie jak sądzę, wyrzucał mu z ust serię takich słów, których nie powstydziłby się sternik łodzi kanałowej.

— Co się z wami dzieje? — zawołałem. — Albo… — mój głos załamał się na chwilę na tę myśl — co się dzieje ze mną?

— Proszę usiąść — odparł Lawrence. — Niech pan nie traci głowy.

Oczy mu się rozszerzyły i chwilami pochwytywałem w ich głębinach jakiejś dziwnej barwy błyski. Jego pomarszczona twarz wyglądała w swym

ożywieniu niemalże na piękną – rozświetlona płonącym w jego wnętrzu ogniem.

— Nie ma w tym wszystkim zupełnie nic zdumiewającego czy też cudownego – to po prostu działanie reguły życia. Proszę posłuchać. Kiedy usłyszeliśmy upadek La Due (ten głupiec próbował przejść po desce położonej nad śmiertelną pułapką, żeby nie iść dookoła budynku laboratorium – nieźle za to zapłacił, najadając się strachu), dałem panu cylinder ze stelarytu. Nie odłożyłem go na stół roboczy ponieważ ten jest zrobiony z aluminium, a cylinder nie powinien wchodzić w kontakt z żadnym innym metalem, z tego prostego powodu, iż stelaryt tak łatwo wchodzi w związki z innymi metalami że kontakt z jakimś, oznacza jego absorbcję. Wszystkie jego poszczególne cząsteczki zaczynają wnikać, lub inaczej mówiąc są asymilowane, przez cząsteczki tego metalu i – stelaryt przestaje posiadać swą „odrębną istotę”. Tak więc, dałem go panu, ponieważ chciałem mieć wolne ręce, i pobiegłem do zbiorników, a pan tuż za mną. Przyznaję, że nigdy nie zachowałbym się tak beztrosko, gdybym nie pozwolił sobie na pochłonięcie przez proste kwestie życia lub śmierci.

Zawiesił głos, z żalem.

— Jednak, kontynuując ten wątek, pan z jakiegoś powodu pochwycił za dźwignię prądnicy o bardzo wysokim napięciu i uruchomił obroty wirnika, jednocześnie stawiając nogę na płycie jej podstawy. Tak więc, przy zwykłym rozwoju wypadków, leżałby pan teraz prawdopodobnie na tamtej leżance – martwy!

Popatrzyłem na leżankę z nagłym zainteresowaniem.

— Ale tak się nie stało.

Wymamrotałem, że to rzeczywiście prawda.

— Nie – ta błyskawica zamiast wypalić z pana życie, ot tak — melodramatycznie pstryknął palcami — przeszła prosto przez pańskie ciało w cylinder stelarytu, który, zamykając obwód, odesłał prąd z powrotem przez pańską klatkę piersiową, ale posiadł nową właściwość.

— A ta właściwość polega na?

— Ach, i tu pan mnie ma. Niezależnie od tego jaka ona była, obawiam się że teraz jest już zbyt późno, aby świat kiedykolwiek się o tym dowiedział. No cóż, puścił pan dźwignię, jak myślę, oraz cylinder, kiedy krzyknąłem. W chwilę później złapał pan za koło napędowe maszyny rozdrabniającej, zatrzymał je, jakby to było wahadło zegara – i, hmm..., przypadkowo uratował pan życie La Due.

Urwał, a światło w jego pomarszczonej twarzy przygasło, oczy pociemniały i zwęziły się. Głowa opadła mu do przodu, na pierś.

— Ale jak sobie o tym pomyślę... o tych latach... latach trudów wyrzuconych na śmietnik, dokładnie w chwili tryumfu!

— Nie rozumiem — powiedziałem, starając się pozbierać te niewielkie okruchy jego pełnej myśli, widoczne jakby zza lekko tylko uchylonej zasłony. — Chce pan powiedzieć...

— Chcę powiedzieć — warknął w nagłym powrocie irytacji — że w tej chwili, kiedy trzymał pan w rękach stelaryt i dźwignię prądnicy, zaabsorbował pan wystarczająco dużą ilość reguły życia, do ożywienia stada słoni. Posłuchaj człowieku, czymże jest siła? Czy to jest siła mięśni

sama w sobie? Czy sam mięsień mógłby podnieść nawet malutką szpileczkę? Siłą jest reguła życia, mówię panu – i ja ją miałem w ręku.

— Ale ten stelaryt — zaprotestowałem. — Z pewnością może pan go wytworzyć więcej?

— Wytworzyć! — zadrwił. — Przecież to jest pierwiastek, mówiłem panu! A to była, o ile wiem, cała jego ilość, która jest na świecie!

— Może uda się go gdzieś jeszcze odnaleźć — dyskutowałem. — Albo… jeśli wpadł do zbiornika z kwasem, to został zaabsorbowany przez jakiś metal – czy coś innego?

— Nie… w zetknięciu z tą kąpielą kwasową wyparowałby w powietrze – jako pozbawiony zapachu i koloru gaz. Mam tylko jedną nadzieję – że potoczył się gdzieś pod jakąś żelazną maszynę i został zaabsorbowany. W takim przypadku może uda mi się zlokalizować go w większej masie asymilującego go metalu. No cóż, mogę tylko zasiąść z powrotem do pracy, przetestować każdą cząstkę maszyn w pobliżu zbiorników – i pracować – i pracować. Gdybym tylko ustalił wcześniej, czy to elektryczność i zwierzęcy magnetyzm były potrzebne do dopełnienia złożenia – ale teraz to oznacza lata cierpliwości, w najlepszym wypadku.

Ponuro pokręcił głową.

— A ja? — rzuciłem w zadumie, raczej do siebie niż do niego.

— Och – pan! — uśmiechnął się, a jego twarz ponownie roztopiła się w burzy zmarszczek. — Pan może zostać Samsonem, jeśli pan ma ochotę. Pańska siła jest niemal bezgraniczna!

KONIEC